TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

27. lutego. — 8. kwietnia.

Zaczęło się od drobnej iskierki:

Młodzież — kilku jej przedstawicieli zapewne — wezwało rodaków na nabożeństwo żałobne za dusze: Adama, Juljusza, Zygmunta. Imiona tylko — bez nazwisk — ale imiona gwiazdy...

Wnętrze świątyni, kirem żałobne — katafalk — złote płomyki gromnic — śpiew — gromadka modlących się, — nie wiem, za Wielkich, co krwią swego ducha karmili naród gnębiony, — czy też może — do Nich?...

To wstęp. Przygrywka.

Po niej akt pierwszy. Rocznica Nocy Listopadowej, krwawej i świętej, po której „dziewięć miesięcy nastało, wielkich nadzieją, wiekopomnych chwałą“.



Medal na pamiątkę ofiar z 27. lutego i 8. kwietnia 1861 r.

Ogromne zbiorowisko ludzi. Udręczone dusze odczuwają hańbę niewoli, dalekie są jednak od porywu, co kajdany przekuwa na miecze. Wypełnia je żal jeno za zgasłą chwałą, pragną powrotu do dawnej wolności. A więc i pieśń, wierna tłumaczka uczuć zbiorowych, płynie w niebiosa zbożną modlitwą:

„Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie!“

Akcja rozwija się dalej z fatalizmem nieuniknionym, bo serca ludzkie biją, czują, bolėją...

I oto znowu lud zalewa ulice gminem bezmiernym. To dwudziesty siódmy luty — ostatni dzień bitwy grochowskiej.

Z niedalekich pól Grochowa płyną — wraz z wiatrem — wspomnienia najdroższych nadziei i boleści najświętszych, — płynie rozwiewnem echem szczęk broni, plusk fali krwawej, okrzyki tryumfu, jęk śmierci, — płynie i żarem przejmuje pierś ludu...

On sam jednak nie idzie walczyć. On idzie dać śmiercią — świadectwo życia.

Idzie bezbronny...

A w tę pierś jego bezbronną lecą ze świstem kule wraże...

Krew — śmierć — trupy — i żałoba narodu, co długo płakał „takiej ofiary ognia wonnego i rozbitej czary“. A potem pogrzeb — Trumny w koronach z cierni — i laur, jak dla wielkich, niezapomnianych, świętych...

W akcie ostatnim groza dosięga szczytu.

Wiosenny dzień, — dzień ósmy kwietnia.

Na ulicach Warszawy nie kwiaty się czerwienią, — czerwieni się krew... Powietrzem wstrząsa nie piorun boży, — wstrząsają niem mordercze strzały dziczy moskiewskiej.

Ale lud-bohater nie mruży przed niemi wieszczych oczu, co widzą przyszłość. On wie, że po trupach męczenników przychodzą mściciele i w ekstazie milczącej sam podaje katom upuszczoną broń, — pada na kolana przed tratującemi końmi, umiera z okrzykiem nadziei na ustach...

Wtedy to — w dzień ów tytanicznych zapasów światła z ciemnością — oficer rosyjski, Potapów, złamał szpadę i cisnął ją ze wzgardą w twarz swoim zwierzchnikom;— wtedy żyd Lande podchwycił krzyż, wymykający się z porąbanych rąk kapłana i wzniósł wysoko symbol męki nad umęczonymi; — wtedy krew niewinna zbluzgała hojnie ziemię wiosenną, co bujnych łaknie ros, aby bujny wydać plon; — wtedy padło z naszej strony 300 trupów...

O Duchu Polski, przyjmij te serca krwawe, te serca, zmiażdżone kopytami końskiemi, jako ofiarę odkupienia za grzechy nasze!...

Alboż Ci nie dość piękne? — Nie dość bolesne?...

M. W.

WŁADYSŁAW ORKAN.

Skapany świat.

AKT III. SCENA VII.

OSOBY:

KANTY, młody gazda
SOBEK, brat jego
NASTA, ich macocha
ZUŚKA, kochanka Kantego
GRZĘDA, ojciec Haźbiety, żony Kantego
WÓJT
PODWÓJCI
POLOWY.

SOBEK. Na zdrowie! Pijmy!

NASTA. Na to szczęście!

KANTY *(staje we drzwiach)*. No, na to szczęście! Pijcież na to szczęście! *(postępuje naprzód.)* Dobraliście sie przeklęte gadziny! Weselcie sie, radujcie — bo to miała być stypa pogrzebowa!...

SOBEK. Poczkaj, bedzie i stypa....

KANTY. Toście sie tak zmówili?! Tak, milczkiem, jak wilcy?!... Chcecie mi babę ukamienować... zbóje!

ZUŚKA *(podchodzi)*. Ty mnie w to nie mieszaj!

KANTY. Ty sie sama mieszasz! *(do nich)* Ja wam daruję — myślicie?! Ho! ho! Przebrała sie już cierpliwość moja...

ZUŚKA. Strzeż sie...

KANTY. Wy sie strzeżcie! Wy! Kara boska niedaleko wisi nad wami!

SOBEK i NASTA. Nad tobą!

ZUŚKA. Słuchaj ty! Mam cię w rękach...

KANTY. Ha! Ha! ha! Takie to były plany?! Nic z twojej skargi.

ZUŚKA. Wyżenę cię z gruntu!

KANTY. Ja grunt zapisał babie.

WSZYSCY *(przerażeni)*. Co? co? co?

KANTY. Róbcież mi, co chcecie... cha! cha! cha!

SOBEK. Jakeś ty śmiał nasz grunt zapisować? Jakiem prawem — pytam sie?! *(Kanty się śmieje)*.

NASTA. Jakiem prawem?!

SOBEK. Słyszysz — ty wilczy japetycie?

KANTY. Cicho! psie oblazły!

SOBEK *(chwyta za stołek)*. Matko!

NASTA *(równocześnie)*. Sobek! nie daj sie poniewierać!

KANTY *(ustępuje do sieni)*. O, nie tak łatwo! Ja was tu nauczę!... *(Słychać gwar w sieni)*.

ZUŚKA *(patrzy z boku na Sobka i macochę)*. Cygańskie plemię... *(otwierają się drzwi, wchodzą: wójt, polowy, podwójci, Grzęda)*.

KANTY *(wchodząc z nimi)*. Spokornieliście?

NASTA. My nic nie winowaci!

SOBEK *(bojaźliwie)*. Czego ty od nas chcesz?

KANTY. Wynosić mi sie zaraz! Natychmiast! Niech was oczy moje nie widzą!... Wy krety podziemne!!

SOBEK. Matko!

NASTA. Sobek!

KANTY *(tupie)*. W tej chwili!! Pokiela mię większa złość nie chyci...

GRZĘDA. Zbóje!

NASTA *(biega od jednego do drugiego)*. Co on se myśli? Sobek! Zuziu! Co on se myśli?

KANTY. Widzieliście, co oni mi robią!... Ja z chałupy poszedł — to mi babę wygnali...

GRZĘDA. Pokrwawili!

SOBEK. Kłamstwo!

KANTY. Niszczą mi wszystko i paszą. Cierpiałe-ch, pokiela-ch zdołał. Teraz już nie ścierpię!...

WÓJT. Ha! rób swoje...

NASTA. Wy wójcie!

WÓJT. Nie zaradzę — ma słuszność.

NASTA *(w płaczu)*. Nie ma! sto razy nie ma!

PODWÓJCI i POLOWY. Ma!

NASTA. Wy za nim! Wszyscy za nim! O ja nieszczęśliwa! Sobek! Słyszysz ty...

KANTY. Wartko! wynosić sie — raz dwa!

NASTA. Sobek!

SOBEK. Bracie!

KANTY. Tyś nie brat!

NASTA *(do Kantego)*. Wspomnij na ojca —

SOBEK. Na matkę —

ZUŚKA. Uwazuj na sie...

KANTY. Na nic! Na nic nie uwazuję!

ZUŚKA. Chcesz mieć wrogów?

KANTY. Oni i tak wrogami byli... Wszystko mi jedno!

WÓJT *(do radnych)*. Dalej! dalej — bierzcie graty.

NASTA *(zastępuje do Kantego)*. Jak śmiesz?!

SOBEK. Powiedz... jakiem prawem?!

KANTY. Ojcowska wóla!

SOBEK. Kto ją słyszał?

KANTY. Wyraźnie stoi w destamencie...

NASTA. Masz ty serce?

KANTY. Wyście mieli?!

NASTA *(załamuje ręce)*. O wszyscy święci!...

KANTY. Ja wam nie podaruję. Coch sie nagryzł, natrapił... wartko! wynosić sie! Szukajcie se kumory!

NASTA. Na starość — zdechnąć przyjdzie *(płacze)*.

SOBEK *(przysuwa się)*. Zuśka!

ZUŚKA. Rób co chcesz... Dej mi spokój.

KANTY. Cóż stoicie? *(wyrzuca pierzynę — z żerdki ściąga „łachy“)*.

PODWÓJCI *(za skrzynką)*. A to czyje?

KANTY. Ich! *(Polowy z podwójcim wynoszą rzeczy — wójt mówi z Grzędą na boku)*.

NASTA. Boże! Zmiłuj sie nademną!

WÓJT. Po niewczasie! *(Nasta zawodzi głośno)*.

KANTY *(na boku — do Zuśki)*. Słuchałaś ich, tych psinóg — i na co ci to wyszło? *(Zuśka opuszcza głowę)*. No, nie trap sie. Ja koszta wezmę na sie... *(postępuje parę kroków i wraca)*. Dziecko ostanie u mnie...

ZUŚKA *(ze złością niemocy)*. Kanty!

KANTY. Dziecko ostanie u mnie — rozumiesz?!

ZUŚKA *(drze zapaskę w dłoniach — milczy — poczem nieznacznie się wysuwa)*.

NASTA. Boże! Co ja mam począć?

KANTY. Zabieraj sie wartko!

NASTA. Ja, córka gospodarska — mam sie poturać po świecie? Szukać u obcych przytułku?!

KANTY. Dobrze wam było. Mogliście cicho siedzieć — nie ryć podemną!...

NASTA. Zlituj sie! Daruj! *(pada mu do kolan)*.

SOBEK. Matko!

KANTY. Za późno! Ja wam gadał... *(odwraca się)*.

NASTA *(zrywa się)*. Zważ, że-ch ci matką była!

KANTY. Macochą!

NASTA. Nie wypędzaj z chałupy, bom tu młodość swoją straciła... tum siły zdarła do znaku i zdrowie. Kanyż mnie przyjmą?

KANTY *(waha się)*. Nie... i jeszcze raz nie!

NASTA *(rozpacznie)*. To mam na żebry iść? po komorach sie włóczyć do śmierci?... Ludzie!!

KANTY. Dalej!... *(Wynoszą rzeczy)*.

NASTA *(w gorączce)*. Czy wy z kamienia jesteście? *(do wójta)*. Wiecie wy, co to jest z gruntu iść na komorę? Na poniewierkę, na hańbę, na

ból?!... Z uczciwej gospodyni ostać komornicą — wiecie wy ludzie?!

WÓJT. Urząd urzędem — gadajcie se z nim (*wskazuje Kantego*).

KANTY. Dalej!

NASTA (*rozpacznie*). Cóż to za świat okrutny! Co to za ludzie!

SOBEK. Wilcy!

NASTA. Pies nawet ma schronisko!

GRZĘDA. Ale dobry pies!

SOBEK. Nie pluj! Ty chytry lisie!

GRZĘDA Widzisz dziadu, komorniku, — he! he! he!

SOBEK. Psie wściekły! (*Rzuca się, Grzęda chowa się za wójta*).

WÓJT (*odpycha Sobka*). Wara od urzędu! zdaleka!

SOBEK. Poznasz ty mnie! (*Grozi Grzędzie*).

NASTA. Nie ruszę sie stąd. (*Siada na pościeli*).

KANTY. Wynoście! (*Biorą pościel*).

NASTA (*szarpie się*). Zabijcie mnie na miejscu! Nie ruszę sie... Wolę tu zginąć, jakby mi kto miał „dziadami“ prać w oczy...

GRZĘDA. Pójdziesz na żebry, pójdziesz....

SOBEK. Zamilkniesz ty?!

WÓJT (*do Nasty*). Z urzędem sprawa...

NASTA. Nie ruszę sie!

WÓJT. Konwisyją sprowadzę...

KANTY. Jałówkę zjedzą koszta...

SOBEK (*podchodzi*). Ustąpcie matko...

NASTA. Nie!

SOBEK. Ustąpcie!... padam... Nie zwalczycie... (*Wstaje — wynoszą pościel do sieni*).

NASTA (*chwyta się za włosy*). Boże!

POLOWY. Już wszystko!

KANTY. Dalej! Długo bedę czekał?!

SOBEK (*do matki — ponuro*). Pójdźmy...

NASTA (*obłędnie*). O świecie! świecie! skapany świecie! (*wypada z głośnym szlochem*). O ho! ho! ho!

Greckie pacholę.

Z „Poezyj wschodnich“ Wiktora Hugo *).

Turcy tam przeszli. Wszystko w gruzach i żałobie!
Chios! — wyspa z win sławna, już tylko w tej dobie
Jest dziką, bezludną skałą.
Chios — której pałace, nadbrzeża i bory
Odbijały się w morzu, gdy w ciepłe wieczory
Młodzieży grono skakało.

Wszystko pustynią. Lecz nie! Gdzie sterczą zwaliska,
Stoi chłopczyk. Z błękitnych oczu łza mu błyska,
Głowa jego pochylona.
Greckie-to było dziecię. Przy nim tylko stała
Jedyna towarzyszka jego — róża biała,
W pustoszeniu pominiona.

O, biedne dziecię! Stopę nagą krew mu broczy,
Niestety! By osuszyć z łez twe piękne oczy,
Które mają błękit nieba;
Żeby ten zachmurzony błękit rozweselić,
Żeby mu błyskawicy radości udzielić,
Powiedz, chłopcze, co ci trzeba?

Żeby to czoło, które przygniotło cierpienie,
Podnieść, żeby w wesołe ułożyć pierścienie
Dotąd żelazem zuchwale
Nietknięte jasne włosy, które dziś niechcący
Po białej twojej szyi spadają niedbale,
Jak liść na wierzbie płaczącej, —

Cóż chcesz? Czemże rozproszę twój smutek ponury?
Chcesz-że, bym ci czarowny zerwał kwiatek, który
Rośnie nad studnią w Iranie?
*Czy chcesz owocu tuby **), tego drzew olbrzyma,*
Który pod swoim cieniem taką przestrzeń trzyma,
Że koń, rok lecąc, ledwie z niej się wydostanie?

Może ten leśny ptaszek, którego śpiewanie
Milsze jest niż oboje, niźli lutni granie?
Może on zmiękczy twój ból?
Cóż ci dać? kwiatek, owoc, czy cudnego ptaka?
„Bracie! — była odpowiedź greckiego chłopaka —
Daj mi prochu! daj kul!“

Przekład Brunona Kicińskiego.

*) Poezją niniejszą pragniemy przypomnieć czytelnikom „Tygodnia“ wielkiego romantyka, którego setną rocznicę urodzin święci właśnie Francja z zapałem nieopisanym, a którego dzieła w swoim czasie niemniej popularne u nas, jak i w ojczyźnie poety, wywarły wpływ niemały i na umysłowość naszego kraju. (*Przyp. Red.*)

**) Drzewo w raju mahometańskim; pisze o niem Koran.

WIKTOR HUGO.

POEZJE MŁODZIEŃCZE. — PIERWSZY DRAMAT.

I.

Był szczęśliwszy, niż którykolwiek z poetów francuzkich i nie francuzkich. Życie jego można porównać do biegu rzeki wspaniałej, co niesie cicho głębokie fale, użyźnia i wzbogaca kraj, którym przepływa, a ginie tam dopiero, gdzie się zaczyna nieskończoność — morze.

I w tem jeszcze losy Hugo różnią się od losów innych pisarzy, że u domowego jego ogniska zasiadło najpierw różowe, uśmiechnięte szczęście rodzinne, a potem dopiero przyszła wyniosła sława, w wieńcu z płomieni.

Posiadał niemniej i nieodzowny dla piszącego warunek zadowolenia: wiarę we własny talent.

„Podnosząc wzrok ku niebu — wyznaje w którejś „Melodji zmierzchu“ *) — wołałem do gwiazd: ,,O gwiazdo moja, nadaremnie się kryjesz, wszak wiem, że jesteś tam wysoko, — jesteś i płoniesz!“ — A gdym patrzał w rzekę, usta moje szeptały: „Ty jesteś sławą, ale oto zjawiam się ja, człowiek — i każdy dzień mego życia to jedna z fal twoich nurtów!“ — Przed szumiącym borem chwaliłem się: ,,Ciemny lesie, i w mojej głębi — podobnie jak w twojej — śpiewają tysiączne głosy, niezliczone melodje!“ — Orła zaś wzywałem: ,,spojrzyj na moje czoło!“ — Pochylony nad opróżnionemi czarami, myślałem: ,,jam jest pełen uczuć skrzących i myśli płomiennych, któremi upoją się dusze“..... I słyszałem śpiew całej natury.... Ziemia wołała na mnie: „poeto!“ — a niebo słało, jako odzew: ,,proroku! Idź, budź, nauczaj, błogosław! Napełnij urnę wysokiemi myślami i ciskaj je w ciemności dolin i na szczyty gór, — w dumne gniazda orłów i jaskółek lepianki“.

Świetna, ale zimna retoryka tych słów przypomina — siłą kontrastu — jak inaczej mówi o swej potędze poeta, ,,sercem z wielkim ludem zbratan“, w chwili, gdy najsilniej wytęża ,,duszy swej ramiona“, a w piersi czuje olbrzymią miłość, ,,co się sama w sobie chowa, jak wulkan, tylko dymi niekiedy przez słowa“...

*) ,,Les chants du crépuscule“.

A jednak i w młodzieńczym porywie francuzkiego poety była prawda i rzeczywistość nie zadała mu kłamu.

* * *

Powstanie Grecji, któremu Byron oddał życie, zbudziło ducha poezji w pisarzu francuzkim. Pierwsze pieśni Viktora Hugo: ,,Zdobyte miasto“, ,,Głowy na seraju“, ,,Entuzjazm“ i inne, powstały pod wpływem walki Greków o niepodległość. Dalej idą krwawe, nieraz szorstkie i brutalne sceny z życia tureckiego i obrazy Wschodu wogóle, świecące i kolorowe, niby wzorzysta szata huryski. Wśród tych liryków, wydanych pod zbiorowym tytułem ,,Poezji wschodnich“, oko czytelnika — może polskiego jeno czytelnika — zatrzymuje się najdłużej na żałobnej perle, pod tytułem ,,Zdobyte miasto“.

„O panie! — zdaje tam sprawę niewolnik, stając przed władcą ze skrzyżowanemi na piersi rękami — ogień, jakeś rozkazał — szaleje, pożera, dławi jęki mieszkańców... Trupy kobiet i mężczyzn, starców i młodzianków piętrzą się na ulicach. Powietrze drga od bijących skrzydeł kruków, żądnych ścierwa... Matki zawodzą z jękiem strasznym, — dziewice, drżące i nieprzytomne, płakały i zostały zbeszczeszczone... Przytroczyliśmy cudne ich ciała do siodeł i wywlekliśmy z namiotów jeszcze żywe, ale zsiniałe od smagań, ach — i od pocałunków...

„Czaszki niemowląt roztrzaskaliśmy o kamienie, starsze, co pozostały przy życiu przypadkiem, otrzymają odszkodowanie... Wierny twój lud, o Panie, przykłada wargi do prochu z pod twoich sandałów, które złota sprzączka spina na szlachetnych twoich stopach, o Panie!“...

Obraz z dalekiego Wschodu, a jednak potrąca struny najgłębsze w sercu Polaka i światy wspomnień w niem budzi!...

Jeżeli o ,,Poezjach wschodnich“ jeden z krytyków powiedział, że są malowane pędzlem, podobnym do owej sosny, którą Heine pragnął wyrwać z gór Skandynawji, umaczać w czeluściach Etny i wypisać nią imię kochanki na ciemnem

sklepieniu niebios, — to pieśni, które wypłynęły w ślad za tamtemi z duszy poety, pisane są chyba piórem słowiczem, tak często słychać w nich głos szarej ptaszyny, co śpiewa miłośnie w majowe noce nad swojem gniazdkiem, — dla swojej drużki....

Poeta stroi tu lutnię na ton miękki i rzewny. Gra dla najbliższych. Wspomina lata, spędzone w domu rodziców — mówi do wiernych przyjaciół, zwierza im się z rozterki wewnętrznej i zwątpień — wielbi młodą żonę, której w wiośnie życia powiedział: „zawsze“, a której usta odrzekły mu: „wszędzie“! — zwraca się do niej ze słowami, nad które niema zaszczytniejszych ani słodszych dla niewieściego ucha: nazywa ją „siostrą swej duszy, pokrzepieniem swojem, nadzieją, skarbem, ucieczką“.

Czasem jednak i z tych pieśni przemawia smutek, jak np. w wierszu o czytaniu pierwszych listów miłośnych. Bohater noweli Maupassanta kończy taki przegląd wybuchem namiętnego żalu i samobójstwem, — u Wiktora Hugo niema rozpaczy, jeno zamglona melancholja, z jaką patrzymy na gasnący dzień, co zapada w wieczność i nie wróci już nigdy...

Niekiedy znowu — daleko częściej — świegocą tu srebrne głosy dziecięce.

„Nie wydalajcie dzieci z pracowni artysty — mówi w jednej z pieśni. — Niech figlują, gwarzą, śpiewają do wtóru głosom wewnętrznym, co się porusza w piersi poety, gdy marzy z piórem w ręku. Słodki oddech ust niewinnych nie zwieje tęczowych baniek jego fantazji.

„Nie mrużę oczu, gdy wśród snów ognistych i krwawych dostrzegam jasne główki dzieci, a wiersze moje nie pierzchają, niby stado ptasząt, przed słodkiem zjawiskiem, — nie! Owszem, wschodnia pieśń haftuje dalej kwiecistą strofę złotem i krasą, balada silniej pachnie wonią cudowności, a gorejąca zapałem oda strzeliściej leci w niebiosa“.

Albo to opowiadanie — chronologicznie późniejsze — o najstarszej córeczce, którą utracił w sposób tragiczny:

„Miała zwyczaj wczesnym rankiem wpadać do mego pokoju, a jam jej wyglądał, jak się wygląda słońca. Wołała: „Dzień dobry, ojczulku!“ i biegła bawić się książkami, piórem, białemi kartami papieru“. A gdy wyfruwała po chwili, jak ptaszę spłoszone, poeta ze świeższą głową wracał do przerwanej roboty i najsłodsze poezje kreślił właśnie na papierze, zmiętym w jej rączętach, pokreślonym jej paluszkami w arabeski dziwaczne.

I jeszcze jeden urywek, taki wdzięczny, — najwdzięczniejszy: Dzieci żądają bajki, najstarsze przysuwa fotel do kominka. I poeta poczyna opowiadać przecuda fantazji, — cienie na suficie przedzierzga w bohaterów, przelewa morze krwi. A mali słuchacze nie spuszczają zeń rajskich ocząt, w których świeci ciekawość, płonie zgroza i śmieją się bez końca z okropnie głupich olbrzymów, których zwyciężają okropnie mądre karły. Opodal matka, pogrążona w marzącej zadumie, słucha opowiadania i czystych dzwonków śmiechu, a poeta widzi przez mroczną szybę skrawek nieba...

Nie! — takich obrazów szczęścia rodzinnego, takiej poezji domowego ogniska niema u żadnego z poetów świata.

M. Wysłouchowa.

2)

Prace historyczne Szymona Askenazego.

Głównym przedmiotem badań Askenazego stają się dzieje porozbiorowe. Dziejom porozbiorowym przyznaje on szczególnie ważne dla nas znaczenie, pisząc:

„Jest czas najwyższy wziąć się nareszcie na całej linji, z całem wytężeniem, z całym impetem, do pełnej i szczerej roboty naukowej koło dziejów porozbiorowych... Tutaj jest pusty wyłom, który opatrzeć potrzeba. Tutaj jest szeroka szczerba pomiędzy nauką a życiem

pomiędzy dziś a wczora, którą potrzeba wypełnić. Potrzeba nieodbicie i nieodwłocznie: dla dwóch mianowicie naczelnych powodów.

„Potrzeba nasamprzód — i to główna, dla oświecenia własnego ogółu. W wyczerpujących, metodycznych, a na wskróś rzeczowych badaniach nad epoką, o której mowa, on powinien odnaleźć nareszcie złożony tam dla niego obfity zasób, wielolicznych, tak drogo okupionych a tem szacowniejszych doświadczeń. Ta epoka, to jest jedna olbrzymia retorta. Wewnątrz niej prawie wszelakie znachodzą się związki. Wewnątrz niej prawie są wyczerpane wszelakiego rodzaju eksperymenty. Eksperyment odbudowania państwa przez każde z osobna z trzech mocarstw rozbiorowych, idąc kolejno od Fryderyka Wilhelma II., przez Franciszka II., aż do Aleksandra I. Eksperyment odbudowania przy udziale niezawisłego mocarstwa, idzie koleją od Dyrektorjatu, przez Napoleona, aż do Ludwika Filipa. Eksperyment próbnej na krzyż administracji, od pruskiej w Warszawie i austrjackiej w Zamoyskiem, aż do rosyjskiej w Tarnopolskiem. Eksperyment spiskowy, od Gorzkowskiego aż do podchorążych. Eksperyment emigracyjny od Hotelu Diesbach, aż do Hotelu Lambert. Eksperyment ugodowy każdego odcienia, od najwyższych koncepcji Czackich, Stasziców, Lubeckich, schodząc po mnogich szczeblach pośrednich, aż na dół do praktyki Ilińskich, Rożnieckich, albo Szaniawskich. To wszystko już było. Czyliżby było nadaremnie? A tak będzie póty, póki to wszystko nie przestanie być jeno mglistą reminiscencją, dowolnym domysłem, albo zupełną niewiadomą, lecz zostanie ujęte w kształty realne i ścisłe, drogą najstaranniejszej, najszczegółowszej, a czysto przedmiotowej rekonstrukcji naukowej.

„Potrzeba, powtóre, i to także dosyć ważna, dla oświecenia obcych. Europejska wytwórczość naukowa w zakresie dziejów t. zw. najnowszych t. j. odpowiadających porozbiorowym, ostatniemi czasy wzmogła się niesłychanie i wzmaga się coraz bardziej. Na szalę historycznego sądu o tych dziejach, Niemcy, Rosjanie, Francuzi, rzucają bez przerwy całe łaszty imponujących wydawnictw i opracowań źródłowych największej wagi. My sami tylko nie kładziemy nic, lub prawie nic. Jesteśmy tutaj nietylko zdystansowani, ale poprostu nieobecni.... *Les absents ont toujours tort.* Ta prawda nigdy nie jest prawdziwszą, jak w danym wypadku. Zapewne, dosyć jeszcze innych szkodliwych czynników składa się obecnie bądź na obojętny, bądź nieżyczliwy, bądź wprost krzywdzący zwrot spółczesnej historjografji europejskiej względem nowożytnych dziejów polskich. Ale to, zamiast wyłączać, jeszcze raczej potęguje szkodę, jaką sprawia nasza własna nieobecność.

„Nie brak i dzisiaj, w historjografji, najbardziej uprzedzonej, albo zawziętej, we francuskiej, niemieckiej, albo nawet rosyjskiej — nie brak zaiste umysłów samodzielnych i rzetelnych, które gotowe się liczyć z poważnem świadectwem naukowem, nie przemilczą go, nie zeskamotują, nie zejdą mu z drogi. Ale muszą się z niem spotkać. W nauce, jak i gdzieindziej, trudno wymagać, dzisiejszymi zwłaszcza czasy, sprawiedliwości zaocznej. Zaś dotychczas, przed forum historjografji powszechnej, najżywotniejsze sprawy nowoczesnych dziejów naszych wywoływane i sądzone są zaocznie. Dawniej lepiej to rozumiano. Rozumiał ostatni ks. Adam Czartoryski, kiedy inspirował Chodźków i Sienkiewiczów, albo kiedy wydawał Portofolia, Angebergowskie zbiory. Wszakże była wtedy robota dyletancka i była inicjatywa jednego człowieka. Teraz chodzi o zbiorową i naukową w całem znaczeniu tego słowa“.

Tak pisał Askenazy w swym referacie „Stan i potrzeba historjografji polskiej w zakresie dziejów najnowszych“. Nawoływanie Askenazego na zjeździe historyków pozostało na razie bezskutecznem. Trudno, aby ludzie, przez zagłębianie się w odległą przeszłość pozbawieni czucia z teraźniejszością, zajęli się zbieraniem materjałów do dziejów najnowszych i ich opracowaniem, tak ze sprawami chwili obecnej związanemi. Nie wydawnictwa materjałów historycznych z doby najnowszej, lecz tłumaczenie średniowiecznych scholastyków absorbuje siły i środki Akademji krakowskiej.

Prof. Askenazy czuje, że praca nad dziejami naszemi doby najnowszej przewyższa siły jednego człowieka. Wytwarza więc cały zastęp uczniów, których zachęca do źródłowych, archiwalnych badań.

W ostatnich np. numerach „B i b l i o t e k i w a r s z a w s k i e j“ spotykamy monografje dwóch uczniów prof. Askenazego: pp. Loreta i Plutyńskiego: z epoki wojen napoleońskich.

Wykłady Askenazego, posiadające wielką atrakcyjną siłę, poświęcone są dziejom najnowszym, np. w bieżącym semestrze wykłada on: „Europa a Polska w dobie Mikołaja I.“, uprzednio wykładał historję Królestwa kongresowego od kongresu wiedeńskiego. Zanim te wykłady ukażą się w druku, trudno dać obraz tego, co już zdziałał Askenazy dla dziejów porozbiorowych. Traktuje on je, jak i dzieje Polski XVIII w., w związku z dziejami Europy, wykazuje zależność losów narodu polskiego od polityki zewnętrznej Europy. Jednym z czynników tej polityki zewnętrznej było nasze bojowe pogotowie, nasza organizacja siły zbrojnej i finanse Królestwa.

W monografji o Wielhorskim Askenazy wykazuje, że jedną z przyczyn powstania Królestwa kongresowego był Komitet wojskowy Księstwa Warszawskiego. Komitet ów miał w swoich rękach resztki armji Księstwa, która w krótkim czasie urosła do liczby 20.000 ludzi. Antagonizm mocarstw europejskich wyraźnie zaznaczył się pod-

czas kongresu wiedeńskiego i, żeby nie powrót Napoleona do Francji, mógłby był przywieść do wojny. Wobec ewentualnej wojny należało liczyć się z opinją Księstwa Warszawskiego, wyrażoną przez Komitet wojskowy, opierający się na sile zbrojnej. W artykułach „Biblioteki Warszawskiej“: „Pożegnanie stulecia“, Askenazy dał obraz antagonizmów politycznych, zarysowujących się w r. 1815. W monografji pod tytułem: „Ministerjum Wielhorskiego“ (Warszawa 1898) Askenazy, biorąc za punkt wyjścia energiczną postać ministra Wielhorskiego, rzuca światło na organizację siły zbrojnej w Królestwie kongresowem i podaje niedwuznaczną deklarację komitetu wojskowego domagającego się gwarancji konstytucyjnej.

Armja Królestwa była podstawą naszych nadziei na kontynuowanie życia narodowego polskiego na ziemiach dawnej Polski. Naturalnem jest, że pociągała ku sobie uwagę i sympatję społeczeństwa polskiego.

Ale podstawą armji są finanse. Małe państewko, na dwóch tysiącach mil kwadratowych, licząc półczwarta miljona mieszkańców, zaczęło żyć wśród bardzo trudnych finansowych warunków. „Na kongresie wiedeńskim — czytamy u Askenazego — księstwo pod względem finansowym i ekonomicznym doszczętnie zostało złupione. Po tylu armjach, co je obdarły, mężowie kongresowi jeszcze w niem obfite zabrali pokłosie. Po rekwizycji wojennej przyszła kolej na rekwizycję dyplomatyczną“. („Dwa stulecia“ str. 368).

Obrońcą interesów Królestwa od przesadnych finansowych pretensji Prus, które na kongresie wiedeńskim znakomicie się obłowiły, nie tylko kosztem Królestwa, ale i Rosji, był Lubecki. Konwencja berlińska z 1819 r., dzieło Lubeckiego, unieważniła umowę z marca 1815 r., uwalniając przez to skarb Królestwa od miljonowych pretensji pruskich. Pomimo to w 1822 r., ciążyło nad Królestwem niebezpieczeństwo ogołocenia go z jego odrębnych instytucyj z r. 1815. Komisja sejmowa z r. 1820 wyraziła myśl niebezpieczną, iżby „umiarkowanie wydatków z zastosowaniem do przychodów łatwiejszem być mogło przy zaprowadzaniu nowej formy rządu, mniej kosztownej.“

W krytycznej chwili dla Królestwa objął zarząd ministerstwa skarbu Lubecki. Monografja o Lubeckim mogła by być, jak to słusznie zauważył Askenazy, historją dwóch trzecich części dziejów Królestwa kongresowego. Z wielostronnej działalności Lubeckiego Askenazy w szkicu o tym mężu stanu wybrał wiele charakterystycznych momentów, rzucających światło na niepewne podstawy dobrobytu materjalnego i samego nawet bytu Królestwa, co było uwarunkowanem stosunkiem Królestwa do Rosji. Trzeba było podnieść finanse Królestwa dla zachowania instytucyj jego, dla pozyskania sił materjalnych na utrzymanie armji. Senator Ludwik Plater, przyjaciel i powiernik Lubeckiego opowiadał, że tenże w poufnej rozmowie rzekł do niego: „Polsce trzech rzeczy potrzeba: 1) szkół, tj. oświaty i rozumu, 2) przemysłu i handlu t. j. zamożności i bogactwa, 3) fabryk broni.... Mam nadzieję, że z czasem przeprowadzić to zdołam“.

Te słowa dowodzą, że w tym ugodowcu wielkich chwil naszych dziejów tkwiła wielka myśl polityczna, obca idei zgody z losem.

Aby podźwignąć finanse, należało przemysł rozwinąć, niemal stworzyć. W dziejach przemysłu zaznacza się Lubecki. Ważnym czynnikiem rozwoju przemysłowego Królestwa był rynek rosyjski, ale jak on był niepewny, rozumiał to Lubecki. Dotychczas bilans handlowy wykazuje przewagę Rosji, pisał Lubecki w 1825 r. do ministerstwa sekretarza stanu:

„...Ale jasnem jest, iż stosunek obustronny skłania się ku równowadze, a nawet, być może, nadejdzie chwila, kiedy przewaga okaże się po naszej stronie. Owoż, poglądam na ten widoczny postęp z uczuciem trudnem do określenia, gdyż, jakkolwiek ten postęp z jednej strony poręcza prawidłowe działanie naszej administracji i sprzyja dobru publicznemu, wznieca on jednak, z drugiej strony, obawę, iż mogłby za jednym zamachem zostać zatamowanym u samego swego źródła. Nie zapomniałem zgoła napaści, tak często podejmowanych przez zarząd finansów Cesarstwa, ani też walk, które z tego tytułu staczać nam wypadło. —

„Zabijając fabryki Królestwa, jednocześnie skazanoby na bezpłodność inne gałęzie gospodarcze, będące podstawą jego dobrobytu, narażonoby prawidłowy pobór podatków, a tem samem, w końcu zatrzymanoby machinę służby publicznej we wszystkich jej częściach“.

Sukna Królestwa, idąc z Rosji opłacały jednoprocentowe cło, gdy sukna zagraniczne były wysoko oclone, do 5 rb. kredytowych od arszynu. Otóż zaprowadzenia wysokich ceł na sukno Królestwa domagali się mężowie stanu Rosji, ów dawny minister finansów Kankrin i inni. Kankrin wpływał na kupców i przemysłowców rosyjskich, aby podawali petycje przeciw niskim cłom na wyroby Królestwa. Powyżej przytaczaliśmy urywki

memorjałów Lubeckiego, cytowanych przez Askenazego, memorjałów, którymi odraczał Lubecki cios, jaki Rosja zadała w 1831 r. przemysłowi Królestwa. Cios ten, dzięki temu, że był odroczony, że uderzył w przemysł bardziej już ugruntowany, nie był już tak zabójczym, jakby mógł się był stać w 1825 r.

Prac Askenazego z zakresu dziejów najnowszych nie wyczerpaliśmy, nie mogliśmy wyczerpać nawet monografji o Lubeckim, która dowodzi, że Askenazy może być zarówno badaczem dziejów wewnętrznych naszego rozwoju ekonomicznego, jak i zewnętrznych, w których przedewszystkiem celuje. Zaznaczamy tylko ogólny pogląd tego historyka na dzieje Królestwa, przyczem będziemy mówili słowami autora.

„W okresie Świętego przymierza i reakcyjnego zalewu, wobec Austrji Metternichowskiej, Prus rządzonych przez nieuczciwych doradców Fryderyka Wilhelma III, restaurowanej monarchji Francji i Nawarry, na łasce białego teroryzmu ministra Ludwika XVIII i Karola X, Rzeszy niemieckiej, na łasce zaostrzonej samowoli przywróconych dynastów, wobec skutych Włoch, pogwałconej Hiszpanji, nawet wobec Anglji pod regencją Jerzego — małe Królestwo Polskie, które Carnotowi, wygnanemu z ojczyzny, gościnnego udziela przytułku, które swoim duchem publicznym zasługuje na aprobatę Lafayetta, swoją armją na podziw Wellingtona, swoją administracją na zazdrość Steina, to państewko znikome, na dwóch tysiącach mil kwadratowych, liczące półczwarta miljona mieszkańców, zbudowane jeszcze na niezaschłem polu bitwy, wzniesione z dymiących się jeszcze gruzów, jeszcze całe drgające echem tych przebytych wstrząśnień, tylu nagłych i śmiertelnych przewrotów, bez ujmy dla siebie wytrzymuje porównanie z owoczesnym Zachodem i pośrodku Europy do przedniejszego miejsca ma prawo. Nigdy może ten kraj sponiewierany, ten szczątek ustroju, jakoby niezdolnego do życia, niewyczerpanej swej żywotności dobitniejszych nie złożył dowodów. Trwał, rósł i rozwijał się, choć po temu ze wszech stron ciężkie napotykał zapory, choć przytłaczało go brzemię tak nadzwyczajnej, tak bliskiej, wczorajszej doby, obezwładniała niepewność jutra, wytrącała z równowagi ustawiczna z teraźniejszością rozterka“.

Inaczej ocenia Królestwo taki Lisicki, który w czambuł potępia je, bo ono doprowadziło do rewolucji nienawistnej dla niewolniczej natury tego człowieka. O Lisickim znajdujemy też u Askenazego słuszny i surowy sąd. Lisicki przychodzi oskarżać Królestwo na zimno, bez najmniejszego przygotowania, z pierwszą lepszą gazetą warszawską w ręku, z drukowanym djarjuszem kilku Sejmów, z pamiętnikami Koźmiana i co najwyżej z pamiętnikami Metternicha albo Gentza. Dzieje Królestwa to zapewne nie jest słońce, ale nie z taką motyką porywać się na nie.

Poddając sumiennej analizie przyczyny powstania i upadku Królestwa, Askenazy z konieczności zniweczyć musi iluzję mącącą naszą świadomość polityczną, że łaska pańska je do życia powołała, a zniweczyła nasza nieroztropność polityczna. Rozszerzając naszą znajomość własnych dziejów najnowszych, tych wypadków politycznych bezpośrednio nas dotyczących, prof. Askenazy daje nam istotne podstawy politycznego wykształcenia.

Wł. Studnicki.

Teorja Dżingoizmu, czyli spóźniona moda w polityce.

Dla jednych świat idzie naprzód, dla drugich cofa się wstecz; wszystko zależy od tego, czy patrzymy przez dobry, czy przez zły koniec lornetki, wskazującej nam perspektywę czasu.

„Przegląd Wszechpolski“ nie od wczoraj powziął przyzwyczajenie patrzeć na rzeczy przez odwróconą lornetkę — nic więc dziwnego, że wydaje się mu, jakoby wszystko malało i uciekało szybko wstecz, cofając się niekiedy aż do wieków średnich, które zresztą stanowią normalną dobę dziejów dla Krakowa, gdzie, widocznie przez pokrewieństwo duchowe, pismo to obrało sobie siedzibę.

Kiedyś tam, kiedyś, wytworzona została teorja społeczna walki klas, antagonizmu, nie dającego się przezwyciężyć ani usunąć, posiadających a bezpieniężnych, przeciwności, którą tylko walka eksterminacyjna rozstrzygnąć może. I oto w chwili, gdy teorja ta w dziedzinie społecznej została poważnie zachwiana; gdy przekonanie, że przeobrażenie społeczeństwa w duchu uspołecznienia (socjalizacji) jest potrzebnem dla wszystkich jego klas, zarówno dla wyzyskiwaczy, jak i wyzyski-

wanych, tę teorję, „Przegląd Wszechpolski“, któremu widocznie nie łatwo zdobyć się na oryginalność, przekuwa do swego użytku, przenosząc ją na pole stosunków międzynarodowych.

Są — powiada on — ludzie naiwni i sentymentalni, którzy przypisują łakomstwu rządów lub ciemnocie hakatyzmu ucisk, jaki znosi narodowość nasza w dwóch zaborach. Przyczyną tego błędu jest bądź „ignorancja historyczna“, bądź „małoduszność polityczna“, a prowadzi on do szeregu zboczeń w naszem postępowaniu. Uniknąć ich zdołamy jedynie wtedy, gdy „ogół nasz zrozumie, że nasza walka narodowa zarówno na zachodzie, jak na wschodzie — to nie skutek chwilowego istnienia jakiegoś szowinistycznego nastroju w Niemczech, lub w Rosji, ale odwieczny antagonizm naszego narodu z dwoma sąsiednimi, antagonizm nie słabnący, ale potęgujący się coraz bardziej, w miarę jak uwydatnia się coraz bardziej fakt, że nasz rozwój narodowy stanie się zgubą (!!), a przynajmniej położy tamę rozrostowi sąsiadów“... *)

Dotąd wszyscy ludzie światli wyobrażali sobie, że rozmaite narody mogą istnieć obok siebie, nie pożerając się nawzajem. Sądzili nawet w naiwności swojej (czy może w porywie sentymentalizmu), że postęp jednego jest czystą wygraną dla innych, gdyż posuwa sprawę postępu ogólno-ludzkiego. Ale oto przyszedł bismarczek polski (w kieszonkowem wprawdzie wydaniu) i groźnie jeżąc wąsy, powiada: „*Aut - aut*! Albo pożrecie, albo będziecie pożarci“. Cieszycie się, że w Rosji szerzy się oświata ludu? Płaczcie, bo to na zgubę waszą. Spotykacie wyrazy ludzkości, a nawet współczucia wśród niemców? Nie dajcie się im omamić: to są krótkowidze, którzy postępują wbrew prawdziwym interesom ich ojczyzny. Interes ten tkwi w jednem: *Ausrotten*! Prusacy mają słuszność, że nas niemczą, tak samo, jak moskale, gdy ruszczą, bo inaczej mybyśmy ich spolszczyli. To też wszystkie najświatlejsze umysły niemieckie są po stronie hakatyzmu (str. 83)“ (!!) Jak gdyby należność do hakatystów nie była już sama przez się dostateczną miarą owej światłości!

Łatwo zrozumieć, jak taka apologia kija przez grzbiet, na który spada, dogadzać powinna hakatystom wszelkiej narodowości. Szczęściem, że „Przegląd Wszechpolski“, pomimo zadowolenia i dumy, z jaką wspomina autor artykułu, jak to sam Buelow cytował to pismo, wcale nie bywa przez nich czytywany.

Z takich premis, zdawałoby się, że jedynym wnioskiem logicznym jest: „stul uszy i cierp“. Ale „Przegląd“ radzi sobie, za pomocą logiki owego murzyna, który na zapytanie, co dobre a co złe, odpowiedział: „dobrze, gdy biorę cudzą żonę; źle gdy biorą moją“. A więc dobrze jest, gdy my dusimy niemców lub moskali, źle, gdy oni nas duszą. Że zaś pierwsza z tych „ewentualności“ dotąd wcale miejsca nie ma, więc pomimo owej murzyńskiej etyki i logiki, która zresztą z wielką trudnością przenika pod czaszki okryte białą skórą, cała ta teorja jest czystą wygraną dla kija; czystą przegraną dla grzbietu.

Teorja ta „walki narodowości“, która, jak łatwo dostrzedz, jest smutną kopją teorji walki klas, pozbawiona wszakże jest logicznej podstawy, jaką posiada ostatnia. Zupełnie poprawnem jest bowiem twierdzenie, że interesa kapitału i pracy są w przeważnej mierze przeciwstawne **); niepoprawnym jest tylko wniosek, jakoby usunięcie tego antagonizmu, przy pomocy lepszych instytucyj społecznych, leżało jedynie w interesie klasy pracowników: bo jeśli antagonizm jest dla obu stron zgubny, to usunięcie jego dla obu jest pożądanem — chociaż może nie w równej mierze naglącem. Ale przy przeniesieniu tej teorji na stosunki międzynarodowe, niedorzeczność punktu wyjścia staje się rażąca. Dlaczego rozwój swobodny narodowości naszej, lub nawet odbudowanie Polski miałoby być „zgubą“ dla niemców? Że przeszkadza ich rozszerzeniu się po za granice naturalne narodowości — to prawda. Ale w takiem rozszerzeniu się nie leży wcale interes jakiegokolwiek narodu. Prawdziwym interesem narodu jest mieć porządek, t. j. wolność i dobrobyt w domu, nie zaś włazić w cudze śmieci, przeciwnie dżingoizm, wytykający tę drogę, potrzebuje kosztownych armij, które rujnują kraj ekonomicznie i oddają go w niewolę polityczną, bo tylko dzięki armji mogą istnieć nadużycia i niesprawiedliwości złego rządu. Ale też ci, którzy potrzebują tych armij przeciwko swoim współ-

*) „Przegląd Wszechpolski“ Luty, str. 85.

**) Chociaż nie bezwarunkowo: kryzysa np. są zarówno dotkliwe dla obu stron, a pomyślny stan rynku dla obu dobroczynny.

rodakom, muszą szerzyć dżingoizm, aby usprawiedliwić ten kosztowny i niebezpieczny zbytek wobec własnego ludu, który mógłby zaciągnąć sznurki od sakiewki i powiedzieć: basta! Są to wszystko rzeczy tak elementarne i tak wszystkim znane, że i w redakcji „Przeglądu Wszechpolskiego“ powinnoby się o nich coś wiedzieć. Uczuwamy pewne zażenowanie wobec naszych czytelników, powtarzając je tu. Raz wszakże położyć należy tamę tym szkodliwym dziwolągom, nie po raz pierwszy już wygłaszanym przez „Przegląd Wszechpolski“, a dającym tak dogodne narzędzie naszym wrogom i zmierzającym ku rozbudzeniu niskich instynktów najciemniejszych mas.

Autorowi zdaje się, że składa dowody niezwykłej „tężyzny“, gdy „rąbie na drzazgi“ (językiem rozumie się) nietylko naszych sąsiadów wschodnich i zachodnich, ale przedewszystkiem wszelką etykę, politykę i logikę. — Gdy wszakże na takie niemądre koncepty wpada w obronie sprawy narodowej, grzebiąc ją, zamiast podnieść, oto w jak prostych i szlachetnych wyrazach przemawia pismo niemieckie w naszej obronie:

„W kwestji polskiej — czytamy w „Bayerische Bürger-Zeitung“ nr. 7. z 22. stycznia b. r. — stara się p. Delbrück w zeszycie styczniowym „Preussiche Jahrbücher“, usprawiedliwić rząd niemiecki. Towarzystwo kultury etycznej, które usiłuje zająć stanowisko pośrednie, szuka wyjścia w propozycji, aby nauka religji została usunięta ze szkoły i pozostawiona nauczaniu w ojczystym języku; w szkole zaś ma zostać język niemiecki. — Jeśli ,,kultura etyczna“ chce zasłużyć na przymiotnik ,,etyczny“, powinna obrać inny kierunek, a mianowicie kierunek obrony napastowanej narodowości. Polacy mają również prawo pozostać Polakami, jak Niemcy — być Niemcami. Prusacy nie mają najmniejszego prawa uciskać Polaków w ich narodowości, a Polacy postępują patrjotycznie, gdy czynią wszystko dla zachowania swej narodowości. W dążeniu tem powinien ich popierać każdy etyk, a więc i tow. dla ,,kultury etycznej“, lub przynajmniej okazywać im sympatję.

„Sympatję tę zyskiwali Polacy w całej wykształconej Europie, ilekroć usiłowali odzyskać dawną Ojczyznę za pomocą słusznych powstań. Czy może dlatego, że owe tak zwane rewolucje tłumiły bezprawie, tkwiące w podziale Polski? Nie chcemy tu mówić o błędzie politycznym, który stanowił jego podstawę, usuwając państwo oddzielające nas od niekulturalnej Rosji, a przez to doprowadzając nas do zetknięcia z jej granicą. O ile przemawiamy do tow. ,,kultury etycznej“, mówimy tylko o etyce, a prosilibyśmy tutejszy jego oddział o zajęcie stanowiska w tej kwestji na najbliższem posiedzeniu. Sądzimy, że odezwanie się to nie powinno być pominięte milczeniem przez społeczeństwo i prasę naszą“.

Zbiorowy wyraz uznania dla tego, kto wśród powodzi hakatyzmu i dżingoizmu, zalewającej Europę, a zwłaszcza Niemcy, umiał zachować bezstronność sądu i szlachetną jasność myśli, byłby nietylko należną mu daniną, ale i krokiem rozumnej polityki, nawiązującym stosunki z przyjazną nam gromadą wśród narodowości, którą zazwyczaj ryczałtowo zaliczamy do wrogów.

Demokrata.

3)

Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

Również materjalne tło życia odbija się na tworzeniu wyrazów.

Dla stepowca koczującego, przyroda jest wiecznie jednaką, i prócz pór roku, ciepła i zimna, słońca, księżyca i gwiazd prowadzących wozy koczownicze, pogody i burzy, istnieje tylko stado owiec i koni, a poza stadem dom — namiot, niejako najbliższa człowieka mieszkalna skorupa.

Dlatego namiot, miejsce chwilowego zamieszkania staje się źródliskiem nazw dla szeregu pojęć, związanych istnieniem swojem z płótnem namiotu, jak to będziemy mieli sposobność niżej pokazać.

U mieszkańców palowych mieszkań, które po jaskiniach, stanowią jedną z najstarszych form przybytku ludzkiego w Europie — do nazw, łodzi, wiosła, wody, palów, plecionki trzcinowej i wiklinowej, przywiąże się wielka liczba nazw plemiennych i czynności związanych z działaniem ludzkiem i jego wierzeniami.

Również silnie na pojęciach i wyrazach odbije się forma mieszkania — późniejsza od palowej, jaką jest ziemianka i kosz. Przyjdzie drzewo, początkowo z korą, potem z kory odarte i odciśnie się w nieskończoność na całym obszarze życia ludzkiego, jak to na języku naszego narodu doskonale do dziś śledzić można.

Zjawi się cegła czerwona i mur kamienny, z biegiem długich wieków zewnętrznej przemiany ziemi i zewnętrznego wzrostu pojemności życia ludzkiego, to całe „murowanie“, „opus romanum“, sposób rzymski, jak go starzy nazywali, odbije się na mowie, na pojęciach i brzmieniach wyrazów ukaże pochodność swoją, zresztą dokumentami historycznymi stwierdzoną.

Zaś w pewnym wspólnym zakresie wszystko jest jedno, czy to się dzieje w Ameryce, lub na wyspach Sandwich, lub u ujścia Wisły. Ludy, mieszkające nad morzem, będą się zwały „Pomorzanami“ w Starej Słowiańszczyźnie, a „ludźmi z nad słonej wody“ na wyspach Sandwich („Krzywicki“ Ludy str. 87).

Nasi Lachowie znajdą swoich krewniaków hen na Nowo-Hebrydach, w „ludziach z zarośli“, wojujących równie zacięcie z „ludźmi z nad słonej wody“, jak kiedyś nasz Bolesław Krzywousty ze słowiańsko-europejskimi Pomorzanami.

Zmiany w społeczeństwach, rozciągające się do wszystkich objawów życia społecznego, wyrażają się w coraz wyższych cywilizacjach, nieustannym rozrostem świadomego obejmowania coraz to większych obszarów **zaspokojonych potrzeb i niezaspokojonych pragnień**, a są zawisłe od następujących często współdziałających warunków:

1. Zmiana powolna warunków życia (naprzykład zmiana klimatu) oddziaływuje powolnie i stale na ludność osiadłą.

2. Ludność koczownicza samowolnie zmieniając otoczenie, zmienia też nieustannie jakość zewnętrznych wpływów i warunków życia, i w ten sposób w miarę przenoszenia się w okolice o odmiennym układzie ziemi, wód, temperatury, przekształca też formę swego gospodarowania, a z niem i całokształtu życiowego.

3. Osiadła i koczownicza ludność przemienić się też może przez zmięszanie się wzajemne, a następnie przez dostosowanie się, w czasie mniej lub więcej zgodnego współżycia.

Do powyższych tez dodać jednak należy zasadniczą uwagę. U każdego ludu ze zmianą otaczających warunków, zmienia się wprawdzie forma istnienia, ale przetwarza się powolnie, w miarę siły, czasu i wkorzeniania się w umysł i ciało dawniej przeżytych kształtów kultury gospodarczej i umysłowej.

Żydzi naprzykład, od kilkuset lat zamieszkali w Polsce, mają odciśnięte na swojem życiu dłuższe ślady pobytu w Niemczech, zatrzymane w stroju i w żargonowej mowie.

Tak samo odnaleźć można u osiadłej na roli ludności, ślady dawnego, koczowniczego, palowego a nawet jaskiniowego życia, nietylko w bardzo licznych zabytkach językowych, ale w budownictwie mieszkalnem, gospodarczem i zbytkownem, tudzież w całym charakterze zdobnictwa.

Słowem, że wszystko, co kiedykolwiek ludzkość w dziejach swoich przeżyła, jest w niej, mówiąc słowem filozoficznem Hegla, w podwójnem znaczeniu „aufgehoben“.

Raz „aufgehoben“, jako coś już przebytego, nieistniejącego pozornie dzisiaj, zniesionego na zawsze, a drugi raz, jako rzecz zachowana, zawarta w ludzkości i nieustannie wpływająca na ogólną sylwetę kultury poszczególnych narodów, owych gatunków drzew przeróżnych, rosnących w ogromnym od biegunów do równika gwarzącym lesie ludzkości.

I tak być musi. Inaczej nie wzrastałaby pojemność życia społecznego i osobistego i tem samem nie byłoby historji kultury.

Kultura dopiero, pokoleniami wzbierając, usposabia jednostki do skupienia w sobie natężonego rozumowo, uczuciowo, obyczajowo i materjalnie życia, które nazywamy cywilizacją.

Oto jest poprawka, jaką wraz z innemi uwagami dołączyłem do słusznego zresztą zdania prof. Riehla, i na tem usiłuję oprzeć moje następne przypuszczenia.

Kazimierz Mokłowski.

STEFAN RYCERSKI.

PUŚCIZNA BRZESZCZA.

(C. d.)

III.

Dziwna rzecz; myśl jedna zaprzątała teraz Berwicza i popa. Ci dwaj ludzie, żyjący od lat tylu w jednej wiosce, spotykali się tylko z musu i zamieniali najkonieczniejsze słowa, dziś przecież zarówno rozmówić się chcieli. Berwicz musiał się dowiedzieć, jakie stanowisko zajął pop w sprawie krzyża, a pop znowu chciał pochwalić się wymyślonym fortelem, no i otrzymać za to korzyści. Czuli obydwaj, że należy im się porozumieć.

Rzecz z pozoru łatwa, przedstawiała jednak trudności. Obydwaj wiedzieli zarówno, że unikać winni wszystkiego, coby zakrawało na porozumienie, lub mogło tę myśl nasunąć; w stosunkach więc, w jakich znajdowali się wzajem, trzeba im było zobaczyć się pokryjomu, a nie mogli sobie przesłać ani ustnego słowa, ani kartki, ani znaku żadnego bez zwrócenia uwagi, tem bardziej, iż wiedzieli, że czujne oko policji wpatrzone było teraz w Malińce z podwojoną gorliwością. Wyczekiwali więc sposobności, która nastręczyć się musiała i czatowali na nią zarówno.

Jedniewicz lubił w dnie gorące siadać z wędką nad brzegiem rzeki pod cieniem olch i wiklin, które je obrastały. Berwicz wiedział o tem i często, objeżdżając łąki, zbaczał umyślnie, by uniknąć spotkania.

Nazajutrz jednak po śledztwie, Berwicz wyjechał na łąki w samo południe.

Dzień był gorący. Nad zielenią łąk i błękitną wstęgą Dniepru tkwiło niebo bez chmury, rozognione słońcem. Ciszę południa przerywało tylko ćwierkanie świerszczów, radujących się z upału.

Berwicz jechał stępo brzegiem rzeki, upatrując słomianego kapelusza. Przeczuwał, że go tu zobaczy. I nie zawiódł się, kapelusz mignął mu wśród zieleni wiklin. Zsiadł z konia, przywiązał go w gęstwinie, jak zwykł był czynić, gdy chciał użyć kąpieli, i szedł do brzegu, oglądając się, czy nie był przez kogo widziany.

Jedniewicz usłyszał tentent konia, usłyszał kroki, ale nie dał tego poznać, nie ruszył się, nie odwrócił głowy. Chciał rozmówić się z Berwiczem, czuł przecież, iż w tym razie on musi tego pragnąć więcej jeszcze. A doznał od niego tyle dowodów pogardy, iż pomimo woli, coś burzyło się w nim i budziło chęć chociażby małego odwetu w chwili, kiedy mieli spojrzeć sobie oko w oko.

Berwicz był wściekły. On także się buntował na konieczność tej rozmowy.

Chwila, której pragnęli obadwaj, źle się zapowiadała.

— Panie Jedniewicz — odezwał się wreszcie.

Pop podniósł głowę, jakby teraz dopiero spostrzegł jego obecność, zamigotały mu bure oczy, skłonił się z szyderczą uniżonością.

— Servus, panie Berwicz...

Chwilę trwało milczenie.

— Chcesz mnie pan o coś zapytać — mówił pop powoli, nie zmieniając tonu. — Widzę, jak to dobrze, bo inaczej nie zbliżyłbyś się do

tak mizernej, jak ja, osoby. Cóż, człowiek człowieka potrzebuje zawsze, a nieraz i tak mizerny, jak ja, przydać się może.

— A gdyby tak było? — odparł Berwicz — czybym otrzymał odpowiedź?

— He! he! panie najłaskawszy, co ja wiedzieć mogę. Zależy od pytania.

— Dajmy pokój próżnym słowom.

— Dajmy pokój — odparł pop, poważniejąc.

— Co oni panu mówili?

Prośba drgała w głosie Berwicza i pop to niezawodnie dosłyszał, jednakże odparł drwiąco:

— A cóż! Stał się cud, stary krzyż wyprostował się nagle. Na nieszczęście ani żandarm, ani *prystaw* w cuda nie wierzą. To nie ich rzecz, więc szukają, kto panu Bogu dopomógł.

Berwicz milczał.

— Ludzie upierali się mówić to, że w krzyżu zmiany nie widzą, to znów, że choć jest zmiana, nikt go nie ruszał.

— Tak, tak, tak — przytakiwał bezwiednie Berwicz.

— Kazali kopać koło krzyża.

— Tak... tak...

— I przekonali się, że był ruszany. To darmo. Choćby się ziemię nie wiem jak ubiło i kamienie położyło w tem samem miejscu, to darmo, ziemia prawdę wyda.

— Wyda — powtórzył stary.

— A tak, wyda, wyda — powtórzył złośliwie Jadniewicz.

Unilkł i przez czas jakiś lubował się wyższością swego położenia, aż wreszcie dodał innym tonem:

— Nie w tem rzecz, czy krzyż był ruszany, ale w tem, kto go ruszał.

Bure jego oczy nie schodziły z twarzy przeciwnika. Była chwila głuchej ciszy, w której słychać było tylko plusk fali i ćwierkanie świerszczów.

— Wówczas — mówił dalej pop — oni przyszli do mnie i spytali. No, tak sobie, spytali, co ja o tem myślę?

— A Pan co? — szepnął Berwicz.

— Jak pan sądzi, co ja miał powiedzieć?

— Co? co? — bąknął Berwicz, wlepiając w niego oczy.

— Powiedzieć, co ja myślę? łatwo. Cóż? byłaby bieda tym, o kim ja myślę. A ja mam wiarę, ja prawosławny. Ha! Jedniewicz jest szelma, Jedniewicz jest podły, Jedniewicz renegat, nie wart żeby go święta ziemia nosiła. Wszyscy tak mówicie, rzucacie na mnie błotem, wygnalibyście ze wsi, jak psa parszywego, wygnali z żoną, z córką, na rozstajne drogi. Jedniewicz mógł się zemścić słówkiem, jednem maleńkiem słówkiem.

Zatrzymał się i patrzał na Berwicza przebiegłemi oczyma, jakby lubując się jego męką.

Stary stał słupem, w ziemię wrośnięty, tylko powieki jego drgały nerwowo, zaciskały się dłonie.

— Tak, co ja miał powiedzieć?

Przystąpił bliżej. I patrzyli sobie twarz w twarz, oko w oko.

— Mogłem przypomnieć, że właśnie w tem miejscu rozstrzelano niegdyś dowódcę partji, że Brzeszcz był ojcem pani Marskiej.

I znowu była cisza, w piersi Berwicza oddech zamierał.

A Jedniewicz dodał w przystępie dziwnej szczerości.

— Bydlęta! Oni o tem wszystkiem nie wiedzą.

Machnął ręką z wyrazem pogardy.

— A ja im powiedział, że w dobry czas przyjechali, bo właśnie jacyś nieznani ludzie kryją się po lasach, naprawiają polskie krzyże, ruskie podcinają, a naród odwracają od ruskiej wiary, że w lasach odbywają się schadzki, kazania, śpiewy. Ha! ha! Com ja im nagadał.

— I to prawda — przerwał zdumiony Berwicz.

— Co ja wiem? może i prawda — zaśmiał się pop — niechaj szukają, niech się pokręcą po lasach, a u was będzie spokój. (C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Studja i szkice.* Adolf Neuwert Nowaczyński. Lwów. Nakł. Tow. Wydawn. 1901.

Niby szyderczym a bolesnym uśmiechem wykrzywiona twarz szekspirowskiego trefnisia wychyla się ku nam raz po raz z kart tej książki, raz po raz odezwą się z nich dzwonki bajazza, a zewsząd prawie owiewa nas tu gorączka ogromnie wrażliwej, rewolucyjnej, nawskróś współczesnej duszy, która chciwie chłonie w sie-

bie wszystkie, tak bardzo skomplikowane dnia dzisiejszego zjawiska i przyswoić je sobie i strawić usiłuje, kocha mocno — więc mocniej jeszcze nienawidzi, uwielbiaćby chciała — więc tem goręcej pogardzać musi. Czuć w tych szkicach, że pisał je krwią serdeczną, nieraz duszą samą, choć często i samymi tylko nerwami, człowiek młody, ale jeden z tych, o których powiada Heine, że przyszli już na świat z raną nieuleczalną w duszy, ironją gorzką, o której ktoś inny powiedział, że jest tylko formą negatywną entuzjazmu. Te dwa też znamiona obok ogromnie indywidualnego, nieraz zbyt indywidualnie rozbarokowanego stylu — oto, co na dziełku Nowaczyńskiego piętno najwybitniejsze wyciska, co wielkie jego zalety, ale i wady zarazem stanowi. Nowaczyński, zbrojny w dowcip, jeden z najostrzejszych u nas, jest urodzonym satyrykiem przedewszystkiem. Umysł jego gorączkowo wybiegał zawsze po za rogatki krakowskie, ku szerokim horyzontom europejskim i chciwie wszelkie duszy ogólno-ludzkiej śledził ewolucje, śniąc równocześnie: o dramacie polskim, któryby wyrównał Ibsenom, a chociażby Hauptmanom, — o Felibrach polskich... Podhalanach, o Miriamie, „odważnym misjonarzu Piękna“... chociażby „chimerycznego“. Aż wreszcie sam poszedł w świat szeroki, ażeby przekonać się wkrótce, że „Europa“ to także... „Świat panien Chamskich“ na wielką skalę, to Pipidówka wielka, to królestwo Podfilipskich... Więc najpierw poznał i odtworzył w znakomitej impresji dzisiejszą „anarchję literacką“ w Niemczech i zrozumiał prąd, unoszący tyle dusz współczesnych „do Damaszku“; więc tem droższe stały mu się bolesne dusze szydercze, teraźniejszości swej urągające, jak niegdyś — Hogaret, a dzisiaj T. T. Heine z „Simplicissimusa“, albo choćby „mądry klown“ berliński, Paweł Scherbaart (ustępy jedne z najlepszych w całej książce); więc tem goręcej ukochał takie bujne renesansowe postacie, jak: Cellini i ten „Grek gotycki“, Arnold Boecklin... nie tracąc równocześnie zrozumienia dla takich skomplikowanych, schyłkowych zupełnie zjawisk, jak n. p. Couperus. A choć po drodze napotkał... i na Adę Negri, natchnioną piewczynię Wolności (ustęp najwcześniej powstały), umilkłą z chwilą poślubienia bogatego fabrykanta, i na Gabrjela D'Annunzio-Rapaquettę, tę dziwną mieszaninę prawdziwego artysty i prawdziwego snoba, napotkał przecież i na płomiennego Prometydę holenderskiego, Dowes-Dekkera-Multatulego, który wydał mu się jednym z tych, co ludzkość przez mgły i mroki ku słońcu jutra niestrudzenie prowadzić będą...

Książka Nowaczyńskiego, dość rozmaita pod względem zawartości i... wartości, jest jednak bardzo indywidualnym, a jednym z najznamienniejszych dokumentów zwątpień, walk i wierzeń młodego naszego pokolenia, które najpierw wszystkie duszy paneuropejskiej odbić w sobie musiało prądy, zanim zrozumieć mogło, że fundamenty pod gmach przyszłego naszego odrodzenia w samą głąb duszy specyficznie polskiej, choć ogólno-ludzkiej zarazem, kładzione być muszą. *A. C.*

*

Zaleski Józef Bohdan. Korespondencje. Wydał Dyonizy Zaleski. Lwów. Nakładem księgarni H. Altenberga. 1900—1901. Tom I.—II.

Wydawnictwo, podjęte przez księgarnię Altenberga, jest właściwie odbitką z „Przewodnika naukowego i literackiego“, w którem to piśmie „Korespondencja“ drukuje się od lat trzech. Dla dokładności bibljograficznej powinna była taka klauzula znaleźć umieszczenie w odpowiedniem miejscu, czego wszelako nie uczyniono. Co się tyczy samego sposobu wydania listów Zaleskiego, to — niestety — edycja omawiana nie jest sporządzona krytycznie, t. j. wydawca nie miał w ręku wielu autografów i publikował listy z niedokładnych odpisów. Skutkiem tego zdarzają się tu i ówdzie opuszczenia całych ustępów. Następnie drugi zarzut, jaki musimy uczynić, jest ten, że wydawca włączył do „Korespondencji“ rozmaite mowy i odezwy Zaleskiego, które najprzód nie dadzą się podciągnąć pod nazwę listów, powtóre, były już gdzieindziej drukowane. Obecny tedy ich przedruk był całkowicie zbędny.

Nie podobna jednakże zaprzeczyć, ażeby wydawnictwo „Korespondencji“ nie było wielką zasługą syna poety, który sporo musiał wyłożyć trudu, zanim mu się udało zebrać, o tyle o ile, wszystkie listy. Powiadamy — o tyle o ile — z tej przyczyny, że część listów została zniszczona, część zaś niewiadomo gdzie się znajduje. „Korespondencja“ ta zawiera obfite bogactwo szczegółów, nadzwyczaj przydatnych do charakterystyki Zaleskiego, jako człowieka i jako poety w pierwszym rzędzie, a nadto przynosi cenny materjał dla historyka działań emigracyjnych. Te dwa względy mówią same za siebie i chyba nie potrzeba dodawać, że wydanie całkowitej korespondencji Bohdana było bardzo potrzebne, wobec niezwykle skromnej ilości listów tego poety, jakie dotychczas były ogłoszone.

Obydwa te tomy pomieściły dopiero korespondencję Zaleskiego do roku 1856. Pozostały materjał, który drukuje się obecnie nadal w „Przewodniku“, wystarczy na dwa spore tomy. To też, ponieważ rzecz nie jest na razie skończona, a każde zło da się jeszcze naprawić, przeto z tego miejsca odwołujemy się do wydawcy z prośbą, ażeby zamieścił przy końcu ostatniego tomu w przyszłości alfabetyczny spis nazwisk osób, bo jest on bardzo potrzebny, a brak jego daje się każdemu odczuć dotkliwie, kto pracował w tym kierunku, że musiał zetknąć się z „Korespondencją“. *St. Zdziarski.*

*

Ongi w dworach i dworkach szlacheckich. Aleksander Wybranowski. (Bibl. dzieł wyborowych. Warszawa).

Szereg opowiadań szlacheckich, bez żadnej pretensji i formy literackiej, rodzaj pamiętniczka, spisanego w późnym wieku, na pochwałę dawnych czasów. Treścią należy ta książeczka do minionego okresu w literaturze, gdzie pod wpływem Rzewuskiego, Chodźki, a później i Wincentego Pola, apoteozowano szlachecką przeszłość, nawet ze wszystkiemi jej głupstwami i wybrykami. W wspomnieniach p. Wybranowskiego także i porozbiorowa przeszłość Galicji przedstawia się jako sielanka, gdzie szlachcic się bawił, „kmiotek“ chodził w sukmanie etc. Co jednak opowiadaniom tym sporo dodaje uroku, to mnogość charakterystycznych rysów minionego

okresu, przedstawiająca wartość współczesnego materjału pamiętnikowego. *Fr. J.*

*

Opis salin wielickich przez Adama Schrötera, uwieńczonego poetę. Przekład Feliksa Piestraka.

Jednym z najstarszych utworów poetyckich, opiewających saliny wielickie, jest poemat Adama Schrötera z r. 1564 p. t.: *Salinarium Vieliciensium descriptio.* Niektóre wyjątki z niego przetłómaczył Syrokomla, a obecnie przełożył go w całości na język polski udatnym wierszem białym, zachowując rytmikę i właściwości oryginału, p. Feliks Piestrak.

Utwór Schrötera, przeładowany mitologją, opisuje różne pożytki z soli kuchennej w gospodarstwie, w lecznictwie, jako środka odżywczego, dalej w uprawie roli, w hodowli bydła (sól żywi i orzeźwia i do igraszek z sobą pobudza też zwierzęta), wreszcie w hutnictwie. Następnie opowiada poeta swą wycieczkę z Krakowa do Wieliczki, przytacza legendę o odkryciu żup solnych przez królowę Kingę i dzieli się z czytelnikiem wrażeniami, odniesionemi w żupach wielickich. Opisany jest obszernie ówczesny zarząd kopalń, sposób eksploatowania soli i warunki, w których pracowali robotnicy salinarni.

SZTUKA. *Polski „Knackfuss“ i przyszłoroczna premja lwowskiego T. P. S. P.* — Za inicjatywą niestrudzonego p. F. Jasieńskiego rozpoczyna księgarnia H. Altenberga, interesujące, na uwagę i uznanie ogółu zasługujące wydawnictwo, p. t. „Monografje artystów polskich“, które kolejno wszystkich wybitnych przedstawicieli sztuki naszej obejmie. Redagowane ono będzie mniej więcej w typie tak popularnych w Niemczech *Künstlermonographien* Knackfussa i bogato ilustrowane, a przystępne w cenie. Pierwsze trzy tomy, obejmujące monografje: Matejki, Chełmońskiego i Malczewskiego, z tekstem wykwintnego znawcy sztuki prof. K. M. Górskiego, pojawić się mają przed Bożem Narodzeniem.

Propagandzie artystycznej p. Jasieńskiego, a zwłaszcza urządzonym przez niego wystawom autolitografji Riviere'a i Bataille'a, które wpoiły w publiczność naszą przekonanie, że litografja artystyczna jest równie dobrze dziełem sztuki... jak obraz olejny w złoconych ramach, zawdzięczać również będą członkowie lwowskiego T. P. S. P. przyszłoroczną premję: rysunek pastelowy Wyczółkowskiego p. t. „Jeździec“ (pierwotnie tytuł opiewać miał „Złoty róg“), którego reprodukcji litograficznej w siedmiu kolorach podjął się znany zakład A. Przyszlaka we Lwowie. Piszący te słowa miał sposobność oglądać ten rysunek w pracowni artysty. Jest to rzecz znakomita, nietyle rysunkowo, ile kolorystycznie i wybornie właśnie do tego rodzaju reprodukcji, tak mało u nas rozpowszechnionego, się nadająca. *A. C.*

NOTATKI. *Suknia polska.* Ta piękna myśl p. Feliksa Jasieńskiego, uważana dotąd przez swojskich pesymistów za... „fantazję japońską — na polski temat“, zaczyna już obecnie powoli w ciało się przyoblekać. — Przedostatni numer „Ilustracji Polskiej“, przynosi mianowicie rysunek trzech sukien „polskich“ według pomysłów inicjatora, przez artystę-malarza H. Uziembłę skomponowanych. Więc najpierw: suknia domowa, z sukna bronzowego z szerokim kołnierzem z koronek zakopiańskich, podług rysunku St. Witkiewicza przez szkołę koronkarską w Zakopanem wykonanych i ponsowemi naszywkami u rękawów i u dołu spodnicy, spięta szerokim „pasem bacowskim“, z grubej skóry żółtej lub brązowej; toaleta bardzo oryginalna i wytworna, zwłaszcza dla wysmukłej osoby bardzo odpowiednia. Dalej *costume de ville* z ciemno-zielonego samodziału, zdobny w aplikację z białego i czerwonego sznureczka, do tego kapelusik czarny, góralski, filcowy z muszelkami i piórem sokolem, oraz pasek z oryginalną klamrą. Wreszcie suknia balowa, biała, jedwabna lub atłasowa z haftem złotym, ciemno-matowym u gorsu i spodu spodnicy, u ramion ażurowe naramienniki tworzącym (wzór zaczerpnięty z łyżnika zakopiańskiego). — Wzory te, zresztą bardzo już piękne i oryginalne, o wybitnym swojskim charakterze w ornamencie (krój oczywista na razie przynajmniej pozostać musi kosmopolityczny) nie są bynajmniej, jak pisze p. Jasieński: „alfą i omegą tego, co zrobić można. To próby, bodziec do tworzenia rzeczy innych lepszych, to zaledwie pierwsze kroki na drodze do urzeczywistnienia tej myśli, którą w czyn wprowadzić może jedynie d o b r a w o l a polskich artystów i polskich pań!“ *a. c.*

*

Powieść z polskich stosunków po angielsku. Polacy zaczynają być znowu modni w Europie. W znanym Tygodniku obrazkowym angielskim „The Graphic“, drukuje się powieść na tle stosunków polsko-rosyjskich, pisana przez Henry Seton Meriman, illustrowana przez W. Hatherella. — Rzecz dzieje się to w Warszawie, to w Londynie. Bohaterką jest Wanda, a ostatni numer zawiera nawet rysunek, wyobrażający złożenie pocałunku na rączce pięknej Wandy. — U spodu rysunku jest nadpis objaśniający takiej, wartej zaznaczenia treści: „U j ą ł W a n d ę z a r ę k ę i u c a ł o w a ł j ą w e d l e s t a r o ś w i e c k i e g o o b y c z a j u, k t ó r y p o d z i ś d z i e ń w P o l s c e s i ę z a c h o w a ł“. Hołd ten, złożony pośrednio przez Anglika, jednemu z objawów wysokiej kultury obyczajowej w Polsce, dowodzi jednocześnie uwagi, jaką obcy poświęcają zawsze temu, c o s t a n o w i o d r ę b n ą c e c h ę c y w i l i z a c j i n a r o d o w e j, bodaj w jej najniepozorniejszych nawet objawach. W tem mieści się wielce cenna nauka dla polskich „Europejczyków“. *K. M.*

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8